

# PORADNIK JĘZYKOWY

Wychodzi na początku każdego miesiąca w objętości jednego arkusza.

Adres Redakcyi: Tarnów (w Galicyi).

Przedpłata roczna wynosi:  
w Krakowie K. 2 hal. 50., z przesyłką pocztową K. 3; w Warszawie rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 80; w krajach należących do związku pocztowego franków 4.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą, a zwłaszcza ekspedycje główne: w Krakowie księgarnia G. Gebethnera i Sp. (Rynek główny 23); w Warszawie księgarnia E. Wendego i Spółki (Krak. Przedm. 9).

Reklamacye zaginionych nrów uwzględniamy tylko do wyjścia nru nowego.

## I. Z BADAŃ NAD JĘZYKIEM POLSKIM.

O dyalektach wogóle.

Napisał

KAZIMIERZ NITSCH.

Wszelkie zmiany językowe, dokonywające się w czasie, stanowią przedmiot gramatyki historycznej. Niezależnie od nich istnieją jednak w każdej epoce różnice przestrzenne, terytoryalne, będące przedmiotem t. zw. badania porównawczego. Porównywanie gra oczywiście ważną rolę także przy rozważaniu zmian historycznych, nazwy tej jednak zwykle się w tym dziale nie używa. Ale nawet w obrębie badań nad terytoryalnemi różnicami języka spotykamy ten termin prawie wyłącznie w zastosowaniu do różnic dalekich, niewidocznych na pierwszy rzut oka. Rzadko stosowany do nauki o języku wogóle, a więc i do porównywania wszystkich języków bez względu na podobieństwo lub odrębność ich budowy i materiału wyrazowego, najczęściej występuje on jakie określenie studyum, obejmującego wszystkie języki o dającej się wykazać wspólności historycznej, np. języki indoeuropejskie. Już o gramatyce języków słowiańskich rzadziej używa się nazwy »porównawcza«, a nigdy prawie o nauce, badającej różnice współczesne w obrębie jednego języka, czyli o dyalektologii. Tymczasem, jeżeli już pominiemy ten fakt zasadniczy, że każda nauka, z wyjątkiem chyba działów czysto opisowych, będących raczej podstawą nauki niż nią samą, jest porównawczą, jeżeli nawet dla wygody nazwiemy zestawianie różnych epok języka jednym wyrazem gramatyki historycznej, to nawet po tem ograniczeniu okaże się jasno, że niema istotnej różnicy między porównywaniem języków słowiańskich, celtyckich, aryjskich i t. d. a zestawianiem odmian, zachodzących np. w obrębie polszczyzny. W obu razach mamy do czy-



nienia z powszechnym, a więc koniecznym faktem nieistnienia języka jednolitego, bez różnic współczesnych, a pewna odrębność stosowanych metod wynika tylko z tego, iż w drugim przypadku suma i jakość podobieństw jest tak dalece wyższą od sumy i jakości różnic, że dla ludzi nieinteresujących się temi sprawami mogą one być czasem prawie niedostrzegalne, w pierwszym zaś stosunek jest odwrotny: podobieństwo jest tak niewielkie, że potrzeba aż skomplikowanego aparatu krytycznego, by przez przyjęcie kilku nieraz stopni pośrednich odkryć resztki pozostałe po ściślejszej, ale historycznie bardzo odległej łączności. W pierwszym razie szukamy więc różnic, w drugim podobieństw.

Każdy bez wyjątku język przedstawia w każdej swej epoce nieskończoną różnorodność. Różniami mówią nie tylko różne okolice, ale też różne warstwy ludności, co można nieraz obserwować nawet w jednym miejscu: inaczej mówią w fabryce dyrektorowie, inaczej maszyniści lub robotnicy zawodowi, jeszcze inaczej pomocnicy, dopiero co przybyli ze wsi, choćby najbliższych. Są więc różnice miejscowe i różnice społeczne, zwane dyalektami, narzeczaniami, gwarami i t. d., a zostające do danego języka w stosunku gatunku do rodzaju. Czasem są one tak widoczne, że wpadają w ucho od razu nawet temu, co najmniejszej do tego nie przywiązuje wagi, np. ludowe polskie *zólty, trowa, corny*, to znów spostrzegamy je dopiero po mniej lub więcej bacznym przysłuchiwaniu się. Jeżeli się w tej obserwacji posuniemy dalej, dojdziemy do przekonania, że niema dwu osób mówiących jednakowo, nie tylko pod względem stylistycznym, ale i gramatycznym, co do wymowy, form, składni, zapasu i znaczenia wyrazów; różnice spostrzeżemy nawet w jednej rodzinie. Fakt ten można właściwie przewidzieć, wydedukować bez osobnej obserwacji językowej, na podstawie tylko znajomości innych faktów, fizycznych i psychicznych: skoro wszędzie panuje nieskończona różnorodność, skoro niema dwu istot ni przedmiotów zupełnie jednakich, to nie mogą też istnieć dwie zupełnie jednako mówiące osoby, każda musi mieć swój język indywidualny. Języków ludzkich jest w danej chwili tyle, ilu jest mówiących ludzi. Gdy więc poprzednio określiliśmy język jako rodzaj, a dyalekt jako gatunek, to tu stwierdzamy istnienie indywiduum, jednostki. Jest nią język danego człowieka w danej chwili, oczywiście nie to, co on w tej jednej chwili mówi, ale co i jak powiedzieć jest zdolny; jest to ten system, który w danej chwili jest podstawą psychiczną jego mowy. Akcentuję tu słowa »w danej chwili«, ponieważ w zgodzie z przyjętym zwyczajem nazywania dyalektami tylko odmian współczesnych (choć czasem spotyka się i zwrot: »w dawnym dyalekcie«) pomijam tu zmiany czasowe, dokonywane



się w ciągu życia jednego indywiduum; istnieją zaś one nietylko między epoką dzieciinną człowieka a jego wiekiem dojrzałym, przeciwnie, dokonywają się ciągle. Wprawdzie obserwując odmienny od naszego sposób wyrażania się starców, sądzymy zwykle, że przed 40 np. laty powszechnie tak mówiono, jak oni mówią teraz, ale studia specjalne nad językiem różnych pisarzy wykazują, że ulega on z biegiem czasu niejednej zmianie. W mniejszym stopniu dzieje się to z pewnością nawet u ludzi, których życie wązkim i jednostajnym płynęło korytem. — Tak język (narodowy) jak dyalekt oznaczają zatem zbiór pewnej ilości języków indywidualnych. Są to pojęcia ogólne, obejmujące cechy wspólne wszystkim wchodzącym w ich zakres indywiduom językowym.

Powstaje teraz pytanie, jaki jest stosunek pojęcia (powszechnego, nie indywidualnego) język do pojęcia dyalekt. Że stoją one do siebie w stosunku rodzaju do gatunku, to jeszcze sprawy nie określa, bo każdy rodzaj w stosunku do jakiegokolwiek pojęcia nadrzędnego staje się gatunkiem. Niewątpliwe będzie zastosowanie tych wyrazów tylko tam, gdzie albo nie znajdujemy już pojęcia o zakresie szerszym, albo gdzie dany szczypty zakres rozpada się już wprost na jednostki. Tak więc mowa jednolitej społecznie niewielkiej wioski jest z pewnością dyalektem, pierwotna wspólna mowa indoeuropejska zaś językiem, bo (na razie przynajmniej) nie możemy jej podporządkować żadnej innej, a tylko przeciwstawiamy ją równorzędnym ale zupełnie różnym: semickiej, fińskiej, turańskiej i innym. Że do ogromnej ilości możliwych zakresów leżących między pojęciem mowy indoeuropejskiej a pojęciem dyalektu np. tynieckiego nie zawsze łatwo jest bez wahania zastosować jedną z tych nazw, wiemy z doświadczenia. Jedni odmawiają prawa do nazwy samodzielnego języka nawet takim grupom jak słowacka a nawet małoruska, drudzy mówią o języku np. morawskim lub bośniackim. Nie tylko jednak w zakresie praktycznym, gdzie względy polityczne tak często mącą i nie dopuszczają do spokojnego sądu, panuje to zamieszanie. Terminologia ta nie jest bezwzględnie ustalona nawet w nauce, po części dlatego, że dla nauki nazwanie pewnej grupy języków indywidualnych dyalektem czy językiem jest sprawą podrzędną; nadto zaś idzie tu o związek, w jakim daną grupę rozpatruję: jeżeli badam odmiany mowy na obszarze polskim czy rosyjskim, to mówię o językach polskim i rosyjskim, jako o pojęciach w tym wypadku nadrzędnych, jeżeli zaś badam właściwości wspólne wszystkim Słowianom, to obu im może przypaść nazwa dyalektów słowiańskich. Mówi się nawet czasem o dyalektach języka indoeuropejskiego, rozumiejąc przez nie germański, słowiański, grecki, italski i t. d.



i nie bez słuszności, bo dyalekt i język są pojęciami względniemi nie tylko zależnie od stosunku swojego do innych grup, podrzędnych czy nadrzędnych, ale i w stosunku do czasu: z drobnych początkowo różnic powstają z biegiem wieków wielkie, dyalekty pierwotnie bardzo sobie bliskie przeradzają się w niemające na pozór nic z sobą wspólnego języki.

Chociaż jednak niełatwo jest określić, którą grupę uważać można za język, a która jest tylko dyalektem, jak również niełatwo z historycznego punktu widzenia orzec, kiedy istniejące w obrębie jednej całości różnice stają się tak ważnemi, iż mogą służyć do podziału nie na dyalekty lecz na języki, to przecież wiele względów praktycznych zmusza do jakiegoś choćby kompromisowego rozstrzygnięcia tej sprawy. I tu mogą być dwa przedewszystkiem punkty widzenia.

Pierwszą taką zasadą podziału mogłaby być kwestya zrozumiałości. Choć może na pozór mało naukowa, ma jednak ta zasada niejedno za sobą. Skoro język jest zjawiskiem na wskrós społecznem, skoro wartość jego w wielkiej mierze zawisła jest od możliwości wzajemnego porozumiewania się, przeto mogę twierdzić, że ludzie, których mowy nie rozumiem, mówią innym językiem. W praktyce jednak podział taki trudny jest do przeprowadzenia, bo zrozumienie innych ludzi zależy nie tylko od ich mowy, ale także od mojej zdolności umysłowej. A różnice indywidualne są pod tym względem niemałe. Niejednokrotnie miałem sposobność zauważyć, że chłopci jakiejś wsi, zwłaszcza kobiety, twierdziły o sąsiadach z niezbyt odległej okolicy, że ich trudno zrozumieć, ja tymczasem, poznawszy tę drugą gwara, dochodziłem do wniosku, że różnice są minimalne: czasem kilka odmiennych nazw przedmiotów służących do domowego użytku całą niemal tworzyły odrębność. Nieraz też widzi się, jak osoby z warstw wykształconych miejskich nie mogą się porozumieć z chłopem; z dawniejszych lat pamiętam, jak panie przy Morskiem Oku nie rozumiały opowiadania starego przewodnika Siczki, a nie tyczyło się to jakiegoś szczegółu, lecz całego toku mowy: chwytaly one oczywiście dość dużo oddzielnych wyrazów, lecz bez zrozumienia wzajemnego ich związku. I tu chodziło głównie o odrębności słownikarskie, ale wcale nie wyłącznie o nie. Ale idźmy dalej: wielu Polaków rozumie dość dobrze Czecha, Słowaka, Rusina z okolic pogranicznych polskim, a jeżeli nie rozumie od razu, to bardzo prędko się przyzwyczai, czasem po kilku dniach lub nawet godzinach, zależnie od wrodzonej bystrości w oryentowaniu się lub od wyćwiczenia się językowego, choćby wyrobionego na językach całkiem innych niż ten, z którym w danej chwili mają do czy-



nienia. I tu jeszcze możnaby mówić o tożsamości języka, o różnicy dyalektycznej i rzeczywiście słyszy się nieraz takie określenia np. w stosunku do słowaczyny. Nie ma tu oczywiście znaczenia fakt, iż ktoś, znający np. języki rosyjski i serbski, zrozumie po raz pierwszy słyszanego Czecha, bo przykład taki wchodzi już w granice specjalnych okoliczności. Ale jeżeli go nawet pominiemy, to stwierdzamy i tak, że skala możliwości zrozumienia innej mowy u typowych mogących tu wchodzić w rachubę jednostek, t. j. u jednostek znających tylko swą mowę codzienną, mowę swego kręgu towarzyskiego, jest bardzo różna.

Niedostateczność tej zasady rozróżnienia i tej cechy, jako cechy znamiennej, wyodrębniającej mój język od języków mi obcych, wychodzi jeszcze bardziej na jaw, gdy się zwróci uwagę, że różne dialekty niemieckie lub francuskie są dla siebie wzajemnie zupełnie niezrozumiałe, a mimo to nikt nie nazywa ich odrębnymi językami, z drugiej zaś strony, że bezsprzecznie wyodrębnione języki, jak szwedzki i norweski, a nawet duński, są sobie tak bliskie, że osoby nimi władające mogą się porozumiewać mówiąc każda po swojemu; to samo tyczy się w obrębie słowiańszczyzny języków dolno- i górnołużyckiego lub czeskiego i słowackiego, co do których też dyalektyczności lub odrębnej językowości zdania są podzielone. Bądź co bądź decyduje tutaj inny wzgląd niż zrozumiałość, mianowicie istnienie lub brak odrębnego języka piśmiennego, literackiego. Widoczna jednak, że wzgląd ten nie jest istotny, nie leży bowiem w samej mowie, lecz w okolicznościach społeczno-politycznych, w jakich się znalazła, a które wywołały lub nie dopuściły do ustalenia się go i używania w piśmie. Że ujęcia literackiego nie możemy uznać za cechę znamiennej języka, dowodzi np. fakt, że w takim razie musielibyśmy uznać za samodzielne języki różne dialekty starogreckie.

Z rozważania tych dwu popularnych punktów widzenia wypada, że żaden z nich nie jest wystarczający. Kwestya zrozumiałości, jakkolwiek ważniejsza, skoro wypływa ze społecznego znaczenia każdej mowy, oparta jest na powierzchownej obserwacji, nie polega na poszukiwaniu zasadniczych cech istotnych, które o każdym podziale czy rozróżnieniu muszą rozstrzygać. Jest to wprawdzie cecha języka istotna, ale pochodna, bardzo złożona: jest to rezultat wielu faktów, które uprzednio ściśle rozróżnić i naukowo określić wypada. Ale gdy ta zasada podziału jest przynajmniej bezstronna, nieuprzedzona, to kwestya literackości, przypisując szczególne wyższe znaczenie jednej z odmian danej mowy z powodu jej ważności społecznej lub ze względów estetycznych, miesza do rozważań czysto językowych względy, należące do innej kategorii pojęć. O stosunku



języka literackiego do gwar ludowych pisał już redaktor »Poradnika« w nr. 11. z roku zeszłego. Tu zwrócę tylko uwagę, że forma jego piśmienna bynajmniej nie może uchodzić za najtypowszą, t. j. łączącą w sobie największą ilość znamion, wspólnych większości dyalektów. Jest to dyalekt jak każdy inny, choć inną powstał drogą, a znaczenie jego społeczne zwykle wcale nie jest wynikiem jego cech istotnych.

Co do rozróżniania wyrazów jak dyalekt, narzecze, gwara i t. d. nadmienię tylko, że jest ono dość dowolne. Tylko o gwarze powiedzieć można, że pospolicie uważa się ją za podział narzecza, większą stanowiącego całość. Dyalekt jest nazwą zupełnie ogólną, oznaczającą odmianę języka bez względu na jej jakość i wielkość zakresu.

O dyalektach języka polskiego w następnej pogadance.

## II. W SPRAWIE NAZWISK ŻEŃSKICH.

(Ankieta).

(2). Za przysłanie mi ankiety, przez Szanowną Redakcję »Poradnika językowego« rozsyłanej, wdzięczną jestem, gdyż przedmiot ankiety leży mi na sercu oddawna i mocno.

Usuwanie z języka naszego zmiany końcówek w nazwiskach kobiecych, czyli dodawanych do tych nazwisk przyrostków: *-owa* *-ówna*, nietylko za szkodliwe dla języka poczytuję, lecz jestem jego nieprzyjaciółką zawziętą, a to dla przyczyn następujących.

Każde usuwanie form językowych, nie z naturalnej ewolucji języka, lecz z pobudek postronnych pochodzące, pociąga za sobą tegoż języka zubożenie i zeszywnienie. Im liczniejsze formy dla słowa posiada język, tem bogatsze w tonacy, dźwięczniejsze jest słowo, tem swobodniej obraca się w niem myśl, tem giętsza i podatniejsza dla każdego wyrazu ducha jest jego materya. Gdy jakakolwiek forma językowa przeżywa się istotnie, to jest, przestaje odpowiadać potrzebom życia i rozwijającej się istocie języka, znika sama z ust narodu i z pod piór jego pisarzy, ustępując przed nową, doskonalszą. Ale starać się o jej usunięcie umyślnie dla celów postronnych i językowi obcych niewolno, bo to znaczy przez zubożanie i zeszywnianie słowa zubożać myśl narodu i więzy na nią nakładać.

Niepodobna sobie wyobrazić, ileby trudności powstało dla mowy ustnej i pisanej przez usunięcie z niej końcówek *-owa* i *-ówna*, ile chropowatości zesześcić by ją przez to musiało, przedewszystkiem rozmnożyłoby to w sposób oplakany tę dziś nieznośną plagę języka naszego, którą jest potrzeba częstego używania tytułów: *pan* i *pani*.



Usunięcie to uczyniłoby posługiwanie się nimi niezbędnym w wielu wypadkach, w których teraz obejść się bez nich można. Jeden przykład z życia codziennego.

Idę ulicą i zapytuję towarzyszkę swoją: kim są trzy osoby z którymi się spotykam, a których niepoznaję? Jeżeli towarzyszka moja jest zwolenniczką przyrostków, odpowie krótko i zrozumiale: *Malewicz, Malewiczowa i Malewiczówna* \*) jeżeli je odrzuca ma do wyboru dwie formy dla odpowiedzi, albo: *Malewicz, Malewicz i Malewicz*, co nie odznacza się, jak mi się zdaje, zupełną zrozumiałością i pięknnością, albo: *pan Malewicz, pani Malewicz i panna Malewicz*, co znowu oprócz równegoż braku piękności, wymaga sześciu słów zamiast trzech, w których znajdują się trzy tytuły, więc rozswadnia język i trzykrotnie oddaje go pod chłostę najsroźszej jego plagi.

Drugi przykład z dziedziny praktyki pisarskiej.

Opisuję w powieści rodzinę Darwidów, złożoną z ojca, matki i córki. Jeżeli chcę uwiadomić czytelnika, co w czasie jakiegoś wypadku czyniły te trzy osoby, piszę: *Darwid pisał, Darwidowa przechadzała się, Darwidówna czytała*. Odrzucając przyrostki pisać muszę: *Darwid pisał, pani* albo *Malwina Darwid przechadzała się, Irena* albo *panna Darwid czytała*. Nic wcale w tej zmianie dopatrzeć niepodobna pięknego lub potrzebnego, lecz natomiast czuć w niej gwałt zadawany językowi dla przyczyn postronnych, żadnej wspólności z duchem i potrzebami języka niemających.

Przyczyny postronne dla których przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, kobiety usiłują wyrzucić z języka przyrostki *-owa, -ówna* są o ile wiem następujące:

1. Zakończenie nazwisk kobiecych na *-owa, -ówna*, miało podobno oznaczać w pierwotnym swem powstaniu przynależność żony do męża, córki do ojca, słowem kobiety do mężczyzny. Forma służąca do wyrażenia takiej myśli wydaje się pewnej liczbie kobiet dzisiejszych ubliżającą dla niezależności i godności kobiecej, sprzeczną z dzisiejszemi o nich pojęciami, przetrwała w mowie szczątkowością ich dawnej niewoli. Otóż, że forma ta może być szczątkowością taką, nie zaprzeczam, decyzję o tem ostateczną pozostawiając filologom. Ale czego zupełnie pewną jestem, to tego, że tylko rozum, cnoty i czyny kobiet mogą dla nich wywalczyć niezależność i godność oraz dobra te stałą ich własnością uczynić. Taka zaś lub inna końcówka nazwisk kobiecych, ani zaszkodzi, ani dopomóż sprawie kobiecej nie jest w stanie; niema więc dobrej przyczyny do zadawania krzywdy językowi bez przynoszenia przez to sprawie kobiecej korzyści

\*) Można jeszcze krócej: *Malewiczowie z córką*. Red.



najmniejszej. Strzeżmy się przesądów i fanatyzmów na odwrót, bo i same przez się rozumne nie są i na sprawę bardzo poważną i ważną ściągają śmieszność.

2. Dystynkcyja. W innej niż tamta strefie świata kobiecego mieszkają kobiety, nad wszystko w świecie ceniące dystynkcyę, czyli niezmierną, nieskazitelną, wyrafinowaną wytworność poruszeń, mowy etc. Tym zaopatrywanie nazwisk kobiecych w przyrostki *-owa*, *-ówna* wydaje się czemś trywialnem, gminnem, prostackiem, niejako chłopkiem. Dlaczego wydaje się im ono tem wszystkiem, pomimo głębokiego wmyślenia się w przedmiot nigdy domyślić się nie mogłam; przypuszczam tylko, że usposobienie podobne jest przeżytkiem tej specjalnej francuzczyzny, która panowała w Polsce u końca wieku XVIII., albo może nawet tej epoki jeszcze dawniejszej, w której Molière pisał swoją komedycę p. t. *Les précieuses ridicules*.

(Grodno).

*El. Orzeszkowa.*

(3). Na zapytanie, »czy godzi się z naturą języka oznaczanie kobiet nazwiskami męskimi«, odpowiadam, że według mego zdania, takie nazwiska jak: Dunin, Sapieha, Sanguszko, Strzembosz i wszystkie cudzoziemskie, winny się pisać i wymawiać »Duninowa, Sapieżyna, Sanguszkowa, Strzemboszowa, Schneidrowa« i t. d. Niemniej nazwiska panien, wszędzie, gdzie to jest możliwem, powinny brzmieć: Duninówna, Sapieżanka, Sanguszkówna, Stremboszówna, Schneidrówna i t. d. Owszem, byłoby podług mnie pożądanem, ażeby nawet nazwiska, mające zakończenie na *-ski*, dla oznaczenia panien, brzmiały tak, jak w starej polszczyźnie (a co się do dziś dnia w mowie ludu utrzymało), nie panna Przyborowska, ale »Przyborowszczanka«, jakkolwiek tego rodzaju forma wyszła już z użycia i używana jest tylko w tonie pogardliwym. Ta różnorodność końcówek, określająca w samej nazwie położenie towarzyskie kobiety, stanowi niepospolite, nieznanne w innych językach, bogactwo, i sędzę, że zatracanie tego bogactwa jest błędem karygodnym. Należałoby odwołać się do naszych dziennikarzy, którzy najbardziej przyczyniają się do psucia języka i jego toku rodzimego, ażeby nie kurczyli mowy ojczystej. Ale jest to groch na ścianę!

W końcu nie przypuszczam, by kiedykolwiek w Polsce, zakończenie męskie na *-ski* mogło być stosowane do kobiet. Nie sędzę, by mówiono i pisano »pani Przyborowski«, lub »panna Przyborowski«. Jest to przeciwne duchowi języka i gramatyce.

(Radom).

*W. Przyborowski.*

(4). Nie może być dwóch zdań. Do ostatnich niemal czasów język polski nie znał form: *Marya Radziwiłł, Helena Tarło, Jadwiga*



*Sapieha*, stosując przyrostki *-owa*, *-ówna*, *-ina*, *-janka*, do wszystkich nazwisk zarówno czysto polskich, szlacheckich, jak i litewskich i niemieckich mieszczańskich. O ile sięgnę pamięcią, w mieszczańskich rodzinach warszawskich o niemieckich nazwiskach za lat moich dziecinnych te jedynie prawidłowe formy ściślej się przestrzegały. Sądzę, że świadectwo to moje ma pewną wagę, gdyż obie rodziny, z których pochodzę, i wiele innych, z niemi spokrewnionych i spowinowaconych, to typowe mieszczaństwo warszawskie. Co do Warszawy więc brzydki zwyczaj oznaczania kobiet nazwiskami męskimi datuje się od niedawna, a niestety! rozpowszechnia się ogromnie. Jest to ohydne zczudziemczenie a zarazem zubożanie mowy naszej; wygląda to, jakgdyby obcy, którzy tego bogactwa nie posiadają, pozazdrościli nam tego dobra.

Jaki bowiem za tem idzie zanik, łatwo zrozumieć. Tworząc potworka: »pani Galle«, nie umiemy go i nie możemy deklinować; powstają więc formy dziwolągowe: *do pani Galle*, *panią Galle*, *z panią Galle*, *panie Galle*. A dalej drogą swobodnego oddziaływania jednych form językowych na drugie otrzymujemy nowe potworności: *panu Galle*, *pana Galle*, *panowie Galle*, czego bez wstępu ani widzieć napisanego, ani słyszeć mówionego nie mogę. Przecież od czterech pokoleń jesteśmy Polakami, za cóż mi, u Pana Boga, wciąż niemieckie pochodzenie wypominają?!

Jak daleko zajdzie ten »rozwój«, nie można przewidzieć; już jednak słyszę i czytam w Warszawie formy: *pani Józefowicz*, *panna Wyrwicz*. Tak więc: *Hannibal ante portas!*

Czy wszystkie nazwiska zaopatrzać przyrostkami? Oczywiście, wszystkie. Jeszcze czuje język nasz tę potrzebę, jeszcze w ostatnich czasach o słynnej awanturnicy paryskiej mówiono i pisano: *Humbertowa*...

Kto wie, czy nie najwięcej nabródziły nam żydówki, które nie chcą nazywać siebie *Goldbergówna*, *Rosenbergówna* ze względów eufemistycznych; formy zaś *Goldberżanka*, *Rosenberżanka* — brzmią jakoś dziwnie. Ale trudno — trzeba się na jedno zdecydować.

Ja zaś bez względu na to, jak wypadnie ankieta »Poradnika językowego«, zawsze będę żoną swoją nazywał *Gallową* a córkę *Gallowną*, bo — w myśl nowoczesnego demokratyzmu — jeżeli *Radziwiłłowe* i *Radziwiłłówny*, *Sapieżyne* i *Sapieżanki* mają prawo do polskich przyrostków, to i one od nich nie gorsze.

(Warszawa).

*Henryk Galle.*

(5). W uprzejmej odpowiedzi na zapytanie z dn. 16 b. m. pozwalam sobie co do trzech postawionych pytań odpowiedzieć co następuje:



1. Oznaczanie kobiet nazwiskami męskimi, np. *Marya Schneider*, *Zofia Dunin*, uważam za niezgodne z naturą języka polskiego. Byłoby ono możliwe tylko w takim razie, gdybyśmy przyjęli, że nazwisko w języku polskim jest formą skostniałą, jak w językach zachodnich (germańskich i romańskich). Dlatego języki germańskie i romańskie podają nazwiska zawsze w formie niezmienionej bez względu na to, czy chodzi o mężczyznę czy kobietę, a nawet co do mężczyzn bez względu na to, czy chodzi o liczbę pojedynczą czy mnogą, jako też bez względu na przypadek. I to nie tylko te z pośród nich, które w przypadkowaniu wyrazów pospolitych nie używają końcówek zmiennych, n. p. angielski, włoski, francuski, ale nawet te, których deklinacja końcówki takie zna, n. p. niemiecki. Po niemiecku: *der Schmied* (kował), *des Schmiedes* — *die Schmiede* — ale *Herr Schmied*, *des Herren Schmied* (*des Schmied*), *die Herren Schmied* (*die Schmied*). Po polsku musimy tak samo mówić: *kował*, *kowala*, *kowale*, jak i *pan Kował*, *pana Kowala*, *pp. Kowalowie*. Skoro w samej męskiej formie nazwisko to nie jest skostniałe, to nie można go uważać za takie w odniesieniu do kobiet; żona *p. Kowala* nie może się nazywać *pani Kował*, jeno *pani Kowalowa* zatem tak samo *Helena Schneidrowa*, *Otylia Czernowa*, *Zofia Duninowa*. Oznaczanie kobiet formą męską imienia upowszechniło się u nas w części skutkiem wzorowania się na francuszczyźnie, praktykowanego (niestety jeszcze po dziś dzień dość powszechnie) przeważnie w domach arystokratycznych, bądź też skutkiem wzorowania się na niemiecczyźnie, w którym to ostatnim wypadku główna wina spada przedewszystkiem na biurokratów i ich stylistykę kancelaryjną. Praktyka ta jest moim zdaniem jednym z najbardziej o pomstę do nieba wołających grzechów przeciw naszemu językowi.

Kwestya końcówek *-owa*, *-ina*, (*-yna*) jest, po części sprawą odmienną. Na ogół mam uczucie, że język nasz obecny, w pewnem przeciwieństwie do dawniejszego dąży do zapewnienia końcówce *-owa* bezwzględnej przewagi; jednakże i teraz końcówka *-ina* winna być utrzymana conajmniej przy nazwiskach, których męska forma kończy się na *-a* (*Sapieha*, *Zaremba* — *Sapieżyna*, *Zarembina*).

2. Z powyższych uwag wypływa samo z siebie, że także nazwiska panien nie mogą odpowiadać ściśle formie męskiej, lecz winny być stworzone przez dodanie końcówki *-ówna* *-anka*. Ta ostatnia forma odpowiada nazwiskom męskim zakończonym na *-a* (*Sapieżanka*, *Zarembianka*), najlepiej też byłoby ją zastosować do nazwisk męskich zakończonych na *-g*: *Grünberg*, *Deryng* — *Grünberżanka*, *Derynżanka*. — Dlaczegooby dodatek *-ówna*, *-anka*, miał uchodzić za niedelikatność, nie mogę żadną miarą zrozumieć; czyż zresztą lepiej



będzie brzmiało: *panna Sapieha* zam. *Sapieżanka*? Jeżeli zaś nie ubliża Sapieżance, że ją tak nazywają, to nie ubliży to zapewne także *Zarembiance*, *Derynżance* i *Puppenspilównie*.

3. Skostnienie nazwisk w wypadkach ad 1 i 2 musiałyby mojem zdaniem pociągnąć konsekwentnie skostnienie nazwisk na *cki* i *ski*, to znaczy musielibyśmy wtedy rzeczywiście pisać *Monika Krowicki*. Ale w tem właśnie leży cała potworność teorii przeciwnej — przeciwko której trzeba tedy walczyć wszystkimi siłami.

(Lwów).

O. Balzer.

### III. ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI.

(Red. Ignacy Stein).

#### 1. Sprzedaż węgla czy sprzedaż węgli? (A. K.).

Często napotykałem szyldy firmowe z napisami »sprzedaż węgla« i »sprzedaż węgli«. Otóż mnie się zdaje, że pierwszego wyrażenia używa się w znaczeniu małej ilości węgla, a drugiego, jeżeli jest mowa o większej ilości. A »Poradnik« może nie znajduje żadnej różnicy. Prosiłbym zatem uprzejmie o wyjaśnienie co do użycia tych dwóch wyrażen.

— Między wyrażeniami: *sprzedaż węgla* a *sprzedaż węgli* niema różnicy co do znaczenia. Różnicy tej trudno się dopatrzeć dlatego, że wyraz *węgiel* jest imieniem zbiorowem, które może oznaczać zarówno masę jak i każdą jej cząstkę (n. p. *piasek*, *trawa*, *żyto*, *mąka*, *ziarno*, *kamień* i t. p.). Używanie tych rzeczowników w obu liczbach zależy od tego, czy w zbiorowej masie dadzą się wyróżnić: kawałki, gatunki, oddzielne, poprzerywane części (n. p. *piasek* i *piaski*) i t. p. Ponieważ węgiel może występować i w masie pokładowej i w kawałkach, więc też na oznaczenie kawałków można bez różnicy znaczenia używać form liczby pojedynczej i mnogiej. Kiedy jednak mówimy o pokładzie, stanowiącym jednolitą masę, nie używamy nigdy wyrażenia: *tu są węgle*, lecz *tu jest węgiel*. Warto też przypomnieć, że w języku ludowym do dziś dnia istnieje forma *węgle* w liczbie pojedynczej n. p. *węgle* było mokre.

Pańskie indywidualne odczuwanie różnicy w tych wyrażeniach jest jednakże w języku zjawiskiem powszechnem i na nie chciałbym przy tej sposobności zwrócić uwagę. Jest to objaw oszczędności języka, który usuwa w ten sposób nadmiar form, to samo mających



znaczenie, że albo mniej używane z obiegu usuwa albo nadaje im odrębne znaczenie n. p. *dobrzy* (forma osobowa) *dobrze* (forma rzeczowa) *oka* (w sieci, na rosole) *oczy* (ludzkie, zwierzęce). To odczuwanie różnicy musi jednakże być powszechne, jeżeli się ma uwzględnić w użyciu różnych form.

## 2. Jak odmieniać takie wyrazy jak: *Cerithium*, *Megatherium*, *Buccinum* i t. p.? (B. D.).

Jak odmieniać nazwy zoologiczne lub botaniczne łacińskie, o ile zajdzie potrzeba ich odmieniania? Niedawno wyczytałem takie formy: *Cerithiumy*, *Buccinumy*, *Megatheriumowi*. Otóż co do »*Megatherium*«, to chyba najwłaściwiej byłoby wziąć za wzór »*Seminaryum*« i w l. poj. nie odmieniać wcale, a w l. mn. mówić »*Megatheria*«. Do »*Cerithium*« może też dałoby się zastosować ten sam wzór; a dla »*Buccinum*« najodpowiedniejszym był by chyba »*album*«, a w takim razie l. mn. byłaby istotnie »*Buccinumy*«.

— Pewną trudność w rozwiązaniu tej kwestyi stanowi fakt, że dla wyżej wymienionych wyrazów i im podobnych brak w języku polskim odpowiednich typów deklinacyjnych. Wyrazy jak *Cerithium*, *Megatherium* i t. p. dadzą się wprawdzie odmieniać według typu *gimnazyum*, i będą zgodne z tym typem tak co do zakończenia jak i co do rodzaju, ale rodzaj nijaki dla oznaczenia zwierząt drażni cokolwiek poczucie językowe i dlatego zapewne Erazm Majewski pisze w l. mn. *Anoptolerye*, *Palaeolerye* i t. p., choć w l. p. używa formy (zgrabne) *Anoptoleryum*<sup>1)</sup>. Byłbym jednakże tego zdania, żeby raczej rodzaj poświęcić dla typu i powyższe wyrazy odmieniać według wzoru *gimnazyum*, t. j. w l. p. zostawić tym wyrazom formę nieodmienną, a w liczbie mnogiej odmieniać: *Cerithia*, *Cerithiów* *Cerithiom* i t. d.

Co do *Buccinum* i t. p., to wobec tego rodzaju faktów jak: *fakt* (factum), *dekret* (decretum), *testament* (testamentum), *absurd* (absurdum), *fundament* (fundamentum), *teatr* (theatrum) i t. d. nie wahałbym się, chcąc wyraz przyswoić, pisać: *bukcyn*, *bukcyny*, *bukcynów* i t. p. Ponieważ jednak niema widoków, ażeby kiedyś podobne wyrazy wyszły poza sferę sali wykładowej i książek, przeto można im zostawić tę połowiczną postać, jaką w języku polskim zachowują wyrazy, używane przez ludzi, którzy z jednej strony muszą przyłączyć wyraz do jakiegoś typu polskiej odmiany, a z drugiej zbyt żywo mają pierwowzór w pamięci, by się z łatwością zgodzić na jego przepolszczenie. Wobec tego zatem, że w języku istnieć mu-

<sup>1)</sup> Profesor Przedpotowicz str. 168. 170.



szą zawsze takie połowiczne formy jak: *Corneilla*, *Racina*, *Voltairea*, *adjutum*, l. m. *adjuta*, *supinum* l. m. *supina*, *forum* l. m. *fora*, dawniej *theatrum*, *theatra* i t. p., można *buccinum* i t. p. pozostawić w l. p. w formie nieodmiennej, a w l. m. odmieniać: *buccina*, *buccinów*, *buccinom* i t. d. Reszty dokona usus, który z *Shakespeare'a* zrobił *Szekspira* z *Voltaire'a* — *Woltera*.

#### IV. ROZTRZĄSANIA.

##### 1. Zauważa.

W Roztrząsaniach ktoś *zauważa*. Czy nie lepiej: *spostrzegam* lub *uwagam*? Można *zauważyć*, lecz *uważać!* A. Dr.

— Uwaga słuszna, ale trzeba pamiętać, że w języku polskim słowom dokonany odpowiada niedokonane albo tej samej osnowy albo innej. Coraz częściej jednakże pojawia się dążność do ujednostajnienia osnów, a wynikiem tej dążności jest właśnie niedokonane słowo *zauważam* obok dokonanego *zauważę* (*odważyć się* — *odważać się*, dawne *ważyć się*, *pocieszyć* — *pocieszać*, dawne *cieszyć* i t. p.

##### 2. Wprost potworny.

Ktoś upatruje rusycyzm w wyrażeniu »wprost potworny«. Jakie jest zdanie redakcyi? (Pokłosie z Bibl. Warsz. Por. jęz. z r. 1906 z. 7. 8. l. 7). A. Dr.

— Nie widzę w tem wyrażeniu rusycyzmu. Słownik wileński wymienia ten wyraz i co do znaczenia równa z wyrazem *wręcz*, a przecież mówi się: *rzecz się miała wręcz odwrotnie* i t. p.

##### 3. Spodziewać się po kim.

*Pióro, po którym można było się spodziewać*. Czy nigdy nie spodziewa się czegoś »po kim«? — Koniecznie »od kogo«? (ibid. str. 107. 18.). A. Dr.

— Owszem, można się śmiało po kimś i po czemś czegoś spodziewać.

##### 4. Zakładać szkoły.

»Zakładać szkoły« — czy nie można? Przecież są »zakłady naukowe«...? (Ibid. 24). A. Dr.

— Nie umiem się dopatrzeć błędu w wyrażeniu: *niema potrzeby zakładać szkół*.



### 5. Jeden = pewien.

»Rzucił jeden« zam. pewien. Nie mam pod ręką dawnych roczników Poradnika; przypominam sobie jednak, że niegdyś Poradnik przyznał prawo obywatelstwa *jednemu* = pewien. W Wiśle w bajkach ludowych spotykam *jeden*. (Pokłosie z Gaz. Toruńskiej. Por. 1906. str. 108). A. Dr.

— Zupełnie słusznie. Udowodniono to w Poradniku z r. 1904, na str. 131. Lud stale mówi *jeden*, w staropolskim języku pełno tego.

### 6. Nieziszczalny.

*Nieziszczalny* brzmi brzydko. Wrażenie podmiotowe. Nie razi przecież *niezniszczalny*, *nierozpuszczalny* i t. d. Czy wyraz jest istotnie etymologicznie niepoprawny? (Ibid.). A. Dr.

Nie mogę się dopatrzeć ani brzydkości w tym wyrazie ani etymologicznej niepoprawności.

### 7. Nawyczki; debata; wydział a zarząd.

Na str. 125 »Poradnika« znajduję wyrażenie »porzucić nawyczki i przyzwyczajenia«. Wyraz »nawyczki« (w l. poj. nawyczek a może nawyczka?) razi mnie, być może, wskutek brzmienia, podobnego do rosyjskiego »привычка«. Proszę Szan. Red. o wyjaśnienie 1) czy w języku polskim istnieje wyraz »nawyczka« lub »nawyczek« i 2) jeżeli istnieje, jaka jest różnica między nim i wyrazem »przyzwyczajenie«?

Na str. 126 czytam: »najdłuższą debatę wywołały...« Zdaje mi się, że wyraz »debata« należy do kategorii dziwolągów językowych i może być łatwo zastąpiony przez wyrazy »obradę«, »rozprawę«, »spory«, a wreszcie przez użyty o kilka wierszy wyżej wyraz »dyskusja«. Chcąc koniecznie posiłkować się powyższym cudzoziemskim wyrazem »debata«, należałoby go używać jedynie w liczbie mnogiej.

Nadmienię zarazem, że w Królestwie rozróżnianie »Wydziału« i »Zarządu« (str. 138) nie należy bynajmniej do subtelności, lecz ściśle jest przestrzegane. Wł. Ol.

— W sprawie *nawyczki* nie umiem dać stanowczej odpowiedzi. Tyle wiem, że wyrazu tego sam używam od dawna i że wokoło siebie, w Krakowie dość często go słyszę. Między *nawyczką* a *przyzwyczajeniem* sam nie robię różnicy.

Wyraz *debata* jest tylko nieumiejętnym dorobieniem l. p. do używanego dawniej wyrazu *debaty*. Wyraz ten jednak w polskim języku zupełnie niepotrzebny.

Co do »wydziału« godzę się na stanowisko »Poradnika« w tej sprawie.



## V. NOWE KSIĄŻKI.

*Pisownia polska.* Na podstawie podręcznika prof. A. Kryńskiego tudzież uchwał Komisji językowej Akademii Umiejętności i zjazdu Rejowskiego zebrał Kazimierz Króliński. (Cena 30 hal.) Lwów 1907.

Nie książka, ale książeczka o stronach 38 małej ósemki; mówimy jednak o niej, bo dotyka z blizka spraw przez »Poradnik« omawianych. Dotyczy pisowni polskiej. Ile już dla tej sprawy napisano papieru! Są jednak ludzie, którym się zdaje, że nie tylko rozwój języka, ale narodowość zależy od pisowni, ba nawet od — grafiki! (Porównaj rozsyłane niedawno przez p. Wojczyńskiego z Baku pomysły »ulepszonej« grafiki polskiej, nazwanej pisownią...).

P. Króliński do takich nie należy i nie chciał pomnażać literatury przedmiotu pomysłami własnymi, ale odczuwając potrzebę jednolitego obrazu pisowni, na podstawie uchwał zjazdu Rejowskiego nieco zmienionej, starał się to ująć w podręczną książeczkę; gdzie nie sięgały uchwały Zjazdu, sięgnął do książki prof. Kryńskiego i uchwał Akademii.

Powstała z tego mieszanina szczegółów pisowni, z kwestyami czysto gramatycznymi, a nawet z rzeczą o dzieleniu wyrazów i — o wielkich literach, ale to u nas nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. Wszak do niedawna w skład gramatyki wchodziła nauka »o wierszowaniu« i rzecz — »o miarach, wagach i liczeniu czasu«.

Uważamy tedy to wszystko, co p. Kr. mówi o zakończeniach w dopełniaczu l. poj. i innych na str. 4—7 za zupełnie zbyteczne w pisowni, nie mniej rzecz o wielkich literach a zwłaszcza o dzieleniu wyrazów na zgłoski. Prostujemy przy tej sposobności twierdzenie (na str. 5), jakoby formy: *przed dziesięcią laty, z wielą ludźmi, tą razą* (a zwłaszcza ta ostatnia) — były błędne. *Tą razą* jest równie poprawne jak *tym razem*, tak jak *cud* i *cudo*, (*cudy* i *cuda*) i inne formy podwójne; formy *dziesięcią, wielą*, używane jeszcze przed półwiekiem przez najlepszych pisarzy są mniej błędne niż dzisiejsze *dziesięciu, wielu*, bo jedynie poprawne są: *przed dziesięcią lat, z wielą ludzi*, (*dziesięć* i *wielą* rzeczowniki a *lat* i *ludzi* dopełniacze do nich). Historycznie tedy biorąc (a i o tej zasadzie p. Kr. nie zapomina) wart pałac Paca — ale *zwyczajowo* piszemy dziś i mówimy *przed dziesięciu laty* na podobieństwo: *przed pięciu laty* a to znowu na podobieństwo *dwu* dziś zapomnianego na rzecz *dwuch* a nawet *dwóch* i *dwoch*. Nie można się również zgodzić z p. Kr. na twierdzenie, że formy wyrazów: *gaśnie, wiśnie, sośnie, we śnie, w Dreźnie* — mają wszystkie przyrostek *-nie* (np. *sen* ma przyrostek twórczy *нъ* stł.



сьнъ, a forma *śnie* występuje dopiero w miejscowniku). — Nie ze względu na tradycję (str. 25) ale ze względu na pochodzenie piszemy wiele wyrazów przez *h*. Nie wiemy, skąd wziął p. Kr. wymowę *szlaz, szluza*, bo w wymowie polskiej jest zawsze *ślaz* (i u Słowackiego), *śluza*. W wyrazach piszących się przez *sz* lepiej było pominąć takie miłe jak: *szpryca* i *szłos* (str. 20) a o stronicę pierwszej i *spacer*, bo się bez nich obejść możemy, mając swojskie nazwy, (sikawka, pchnięcie, przechadzka). Monstrualną nazwę Żywca, niby po niemiecku brzmiącą pisano *Saybusch*, nie *Seubusch*, Waszyngton pisze się po angielsku *Washington* (nie *sch*), dalej Mikłosić nie *Mi-słosić*, (wszystkie na str. 30).

Książeczka p. Kr. byłaby wtedy pożyteczna, gdyby 1) uchwały zjazdu Rejowskiego stały się już prawomocne przez zatwierdzenie Akad. Umiej. 2) gdyby była praktycznie ułożona jako alfabetyczny wykaz wyrazów o pisowni wątpliwej. Ponieważ Akademia powzięła uchwałę najwcześniej w maju r. b. na posiedzeniu dorocznym, a książeczka p. Kr. ułożona niby gramatycznie a naprawdę niepraktycznie, przeto uznać ją musimy przynajmniej za przedwczesną, nie odmawiając autorowi dobrych chęci w służeniu dobrej sprawie.

R. Z.

### Od Redakcyi.

Roczniki dawniejsze (II—VI) z wyjątkiem I są jeszcze do nabycia w niewielkiej ilości egzemplarzy w każdej księgarni od 1. lutego r. b. po cenie wyższej a mianowicie po K 4. (rs. 2. franków 5.).

W sprawie zaginionych numerów prosimy się zwracać do tej księgarni, w której się przedpłatę złożyło, a nie do Redakcyi, która nie wysyła »Poradnika« i za dokładność przesyłki nie odpowiada.

---

**TREŚĆ:** I. Z badań nad językiem polskim napisał Kazimierz Nitsch. — II. W sprawie nazwisk żeńskich (Ankieta) przez El. Orzeszkową, Wal. Przyborowskiego, Henryka Gallego i Oswalda Balzera. — III. Zapytania i odpowiedzi przez Ign. Steina. — IV. Roztrząsania przez tegoż. — V. Nowe książki, (Kazimierza Królińskiego, Pisownia polska) przez R. Z. — Od Redakcyi.

---

Przedruki w całości lub w części dozwolone tylko z podaniem źródła.

---

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Roman Zawiliński.**

---

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego.